

Gałąjda, Jerzy

Mała Ojczyzna - moja ojczyzna

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 11, 103-104

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Mała Ojczyzna – moja Ojczyzna

Powyższy tytuł jest częściowo plagiatem z artykułu mego Szanownego Kolegi, znakomitego dziennikarza Jerzego Kraszewskiego, który mam nadzieję wybaczy mi to, że nie znalazłem innego tytułu do bardzo osobistych wspomnień i refleksji, ale wydaje mi się, że żaden inny nie pasowałby tu lepiej.

Biezuń za moich dziecięcych i młodzieńczych lat to była naprawdę mała, ale cała ojczyzna dla większości ludzi, którzy w nim żyli, odcięci od świata nie tylko odległością od miasta powiatowego i od kolei, ale również małomiasteczkową mentalnością a jednocześnie własną dumą i honorem. Było w Bieżuniu (zresztą jest i dzisiaj, tylko jakże odmiennych od tamtych sprzed lat) kilka ulic i duży kwadratowy rynek, a na nim największa budowla – kamienica wystawiona niegdyś przez biezuńskiego Wokulskiego, w której mieściły się wszystkie ważne urzędy i instytucje. Była rzeczywiście imponująca z ozdobnym wystrojem zewnętrznym, dziś ze zmienioną, zunifikowaną fasadą nie przypomina nawet w części dawnej swej świetności. Patrząc na nią jako dziecko widziałem Wielki Świat, do którego wierzyłem, że kiedyś trafię, tak jak wody Wkry tocząc się leniwie trafiały przecież do Bugo-Narwi, Wisły, Bałtyku i hen w świat na oceany. Były i inne ciekawe obiekty w miasteczku: tajemnicza architektonicznie bóżnica żydowska, przebudowana potem na stereotypowy budynek realnego socjalizmu, w którym znalazło pomieszczenie kino. Do dzisiaj zachował swoją wyniosłość barokowy kościół, chociaż nie ma już starej, drewnianej dzwonnicy, a nowa przypomina trochę nowoczesną wieżę do ćwiczeń strażackich. Nie ma też na rynku starej pompy, z której bieżuniacy nosili wodę, na tzw. „siuńdach”.

Najprzyjemniej było w porze letniej, kiedy o piątej rano budził mieszkańców przeciągły krzyk pastuchów „krooowy wyganiaaac”, albo brzęk koskociarzy udających się na łąki. A kto w pogodny, wiosenny ranek miał okazję wyjść nad rzekę, ten słyszał nieustający, potężny jazgot: czajek, mew, bekasów, kulików, derkaczy i wszelkiego innego rodzaju błotnego i wodnego ptactwa. Jakby się coś na zabagnionych łąkach gotowało, bulgotało, huczało, syczało, kumkało i kwiliło jednocześnie. W dzień można było czasami usłyszeć, jak woźny gminny idąc ulicą „wydzwaniał” dzwonkiem ręcznym, takim na patyku trzymanym do góry, co 200 m stawał i donośnym głosem odczytywał komunikaty bądź informacje, biorąc przerwy na oddech niezbyt zgodnie z interpunkcją, co wychodziło jak w słynnym dowcipie: „obywatele bydło, zdycha burmistrz, kazał ogłosić...”. Spokój sennego miasteczka prze-

rywał często donośny ryk syreny strażackiej, dobrze jeśli tylko na próbne ćwiczenia, w czasie których padały gromkie rozkazy „druga woda naprzód!”, „pierwsza woda stój!”. Straż ogniową mieliśmy dzielną i głośną, ochotniczą, ważną w Bieżuniu, a stodoły paliły się dość często.

Ale największe znaczenie w okresie powojennym dla naszej małej ojczyzny miało Liceum Ogólnokształcące. Miasto żyło szkołą, sprowadzano z zewnątrz, z daleka, najlepszych nauczycieli. A na młodzież, pragnącą zdobywać wiedzę, przemożny wpływ wywierał założyciel i pierwszy dyrektor Liceum, bieżuniak z krwi i kości – Stefan Gołębiowski. Człowiek ogromnego ducha i wielkich talentów, poeta, który pełną garścią rzucał ziarno, które „rosło jak uczniowie” i dzisiaj owocuje w wielu Jego wychowankach. Jest kilka osób, które myślą i piszą o Bieżuniu w sposób często incydentalny, również w Warszawie. Ale na największe uznanie i poparcie zasługuje inicjatywa i praca tych, którzy dzisiaj żyją i działają w Bieżuniu wydając „Bieżuńskie Zeszyty Historyczne”, dzięki którym bieżuniacy odnajdują się w tym Wielkim Świecie.

Od momentu obchodów w ubiegłym roku 50-tej rocznicy Liceum w Bieżuniu, na bazie warszawskiej części Komitetu Organizacyjnego powstał w Warszawie zupełnie żywiłowo i nieformalnie prawie klub wychowanków i absolwentów tegoż Liceum. Spotykamy się przeciętnie 2-3 razy w roku w prywatnych domach, rozmawiamy, wspominamy, żeby ocalić od zapomnienia, przeżyte w szkole fakty i wydarzenia, podzielić się zapamiętanymi wrażeniami. Z niecierpliwością czekamy na każdy nowy numer „Zeszytów”, które nas jednoczą i mobilizują do spotkań. Raz, dwa razy w roku bywamy w naszej małej ojczyźnie – w Bieżuniu. Najczęściej i najwięcej osób spotyka się w dniu Święta Zmarłych na cmentarzu, przy grobach rodzinnych oraz naszych wychowawców. Ja chodzę wtedy również na „moją ulicę” z aktualnym mieszkańcem Bieżunia Wiktorem Mieszkowskim, człowiekiem rozmiłowanym w Bieżuniu nie z urodzenia, nie z okresu pobierania nauk, ale z dokonanego w życiu wyboru. Oglądamy domostwa i podwórka. Wiktor opowiada mi dzisiejszą ich historię, a ja jemu dawną – tę sprzed lat. Moja ulica kończyła się pochyłym zejściem do Małej Rzeczeki, wtedy dużo szerszej i urokliwej. A dalej było jeszcze ciekawiej: Wkra, stary młyn, park, ruiny świątyni ariańskiej, pałac. Moja ulica w różnych okresach czasu miała różne nazwy: 11 Listopada, Zamkowa, Młyńska, ale na zawsze pozostanie najpiękniejszą i najmiłą ulicą mego małego, prywatnego świata, który się kiedyś skończy...